HANNA.

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

przez

H. ZALESKIEGO.

W JAROSŁAWIU.
Nakładem i drukiem H. Bohussa.
1893.

HANNA.

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

przez

H. ZALESKIEGO.

W JAROSŁAWIU.
Nakładem i drukiem H. Bohussa.
1893.

Hej nuto stara! — hej piosnko stara!
Zadźwięcz mi tonem minionych dni,
Jakaś mi senna snuje się mara,
Z dawnej przeszłości coś mi się śni!
Zadźwięcz mi lutnio pełnemi tony,
I głos twój dźwięczny w niebiosa rzuć,
Wydobądź przeszłość z pod jej osłony,
O przeszłych dziejach nućże mi nuć!
Ja tak rozkosznie śnię o przeszłości,
Tak chętnie w szary spoglądam mrok,
Tyle w tych cieniach widzę świetności,
Żebym w nich zawsze zatapiał wzrok,
Wśród zmierzchłych dzieji, wśród szarych cie-[ni,
Plączą się duchy z minionych lat,
Obraz ich czynów w oku się mieni,
Nimi się niegdyś zachwycał świat!
A dziś związane w niemym spokoju
Patrzą na życie, nie mogąc żyć,

Po cierniach ziemi, po świata znoju
Wolno im tylko płakać i śnić.
Wieleż to pod tą przeszłości pleśnią
Kryje się cieni, co światłem drżą?!
Przeszłości moja! witam Cię pieśnią,
Pieśnią serdeczną, serdeczną łzą!

H. Z.

I.

Piękny wieczór na Podolu
A uroczy, zwłaszcza latem,
Gdy się zboże złoci w polu,
Gdy bieleją lipy kwiatem!
O te lipy, dróg strażnice,
Cicho gwarzą po dawnemu,
I zbielałe kąpią lice
W rosie, w słońcu, — po staremu!
Zawsze prawie nieodmienne,
Gdy pochmurno, wtedy gwarne,
A gdy słońce świeci skwarne,
Wtedy ciche, jakby senne,
Wtedy kładą słońcu tamę
I rozkoszny chłód sposobią,
A dla oka wdzięcznie zdobią
Krajobrazu panoramę.
Wieki całe stare drzewa
Obejmują wasze cienie,
Inne ptasząt pokolenie
Dla was teraz piosnki spiewa!

Już tak dawno pod przezroczem
Na świat Boży spoglądacie,
Cóż dziwnego, że dziś macie
Jeszcze dumać, gwarzyć o czem?!
Gwarzcie lipy, liść szeleści,
W waszym cieniu ja usiędę,
Gwarów waszych słuchać będę,
Słuchać waszych opowieści!
W waszym smętnym rozhoworze
I ja z wami się posmucę,
A z tych cichych gwarów może,
Jaką piosnkę wam zanucę,
I wyspiewam tajemnice
Z czasów zmierzchłych, z czasów dawnych,
Z dziejów starych, z wojen sławnych,
Moje lipy ciemnolice!
Mnie nie obca wasza mowa
I nie obce, jak te pola,
Wasze gwary, wasze słowa,
Bom ja także syn Podola
A wy stepów wychowanki
Wyście równie podolanki.

Dawno temu na tej ziemi
Między liśćmi drzew cienistych,
Nad potokiem wód srebrzystych
Widniał ściany bielonemi

Piękny dworek, oku miły,
Choć go sztuki nie zdobiły,
Lecz zdobiła go uroda,
Dach słomiany, drzewa, woda,
Co szemrała blisko w dole
I bocianie gniazdo w kole,
I płot żywy z winogradu,
Co się oplótł w koło sadu,
I ta przyzba koło proga,
Z której widna była droga
Między starych lip szeregiem
Tak daleko, że aż z biegiem
Szare swe zwęziła wstęgi,
A odległe widnokręgi
Oku ślad jej zagubiły!
Piękny dworek, cichy, miły
I rozkoszny, jakich mało,
Zdala oku był pociechą,
Tak jak gdyby pod tą strzechą
Samo szczęście zamieszkało!
Rankiem, kiedy słońce świta,
I chór ptasząt spiewem wita
Pierwsze blaski dnia wschodzące
A brylanty rosy lśniące,
W słońcu topią swe spojrzenie —
I tysiącznych barw promienie
Sieją w okół — w dworku progu

Płynie dźwięczna pieśń poranna,
Którą nuci Panu Bogu,
Srebrnym głosem piękna Hanna!
Piękna dziewka, blask urody
Czoło jej otoczył wiankiem!
Nie raz w bieli wyjdzie rankiem,
Krucze włosy na zawody
Puści w pląsy z wiatru tchnieniem,
Wiatr roztrąca włos od czoła,
Piękna Hanna objawieniem
Zda się wtedy być anioła,
Taka cudna i świecąca
Jak uroczy blask miesiąca.
Nie raz w chyżym przemknie locie,
Jakby ptasie skrzydła miała,
Jakby ziemi tknąć nie chciała
A w słonecznem nikła złocie!
Choć odludna okolica,
Wiedzą dobrze młodzi przecie,
Że na całym Bożym świecie
Najpiękniejsza to dziewica, —
Często zatem po pod dworem,
Wczesnym rankiem lub wieczorem
Pomknie jaki młodzian żwawy,
Rzuci w ogród wzrok ciekawy,
Czy nie spotka się z wejrzeniem
Pięknej dziewy igrającej

Czasem z lekkiem wiatru tchnieniem,
Czasem znowu tak płynącej,
Jak po rosie blask księżyca,
Gdy swem srebrem świat oświeca.
I nie jeden młodzian żwawy
Dla rodzica pilnej sprawy,
Jadąc z domu brał rozkazy,
By najpilniej w dom powracał,
I polami drogę skracał,
A on przecież kilka razy
Mnożył długość swojej drogi,
Aby jechać po pod progi,
Gdzie zobaczyć mógł dziewoję,
Piekną Hannę, cud urody,
Uśmiechnięte jej jagody,
Szafirowych ocząt dwoje
I zwój kruczych jej warkoczy,
Co ramiona przysłaniały
I ciekawe w zachwyt oczy
Swym widokiem wprowadzały.
Nie raz w długim lip szeregu
Koń za koniem w lot pomyka,
Jeden z końca, drugi z brzegu,
Ten się zjawia, tamten znika!
Czasem widać pacholęta
W karmazyny nawet strojne
I bogato, suto zbrojne,

Jakby jakie królewięta!
Raz się zjawił w jasny ranek
Smukły młodzian czarnooki,
Był to dzielny rycerz, Janek.
On już zwiedził świat szeroki,
Bywał wiele na obczyźnie,
Znał rycerskie sprawy, boje,
Wiernie służył swej ojczyźnie
I w potrzebie życie swoje
Chętnie dla niej niósł w ofierze!
On pokochał Hannę szczerze.
Raz z nią mówił, raz jedyny
I raz jeden spojrzał w oczy,
Uśmiech jeden wziął uroczy
I już więcej tej dziewczyny
Jego dusza rozmarzona
Nie zapomni póki życia,
Wszędzie przy nim, zawsze ona.
Czy to marzy wśród ukrycia
O wojennej swojej sławie,
Czy też we śnie lub na jawie
Rzuci myślą pod niebiosa
Zawsze Hanna czarnowłosa
W dziwnych marzeń jego stoku
Niby anioł na obłoku
Zjawia mu się przed oczyma!
I spokoju Janek nie ma,

Dusza rwie się za aniołem,
Co mu zawisł ponad czołem,
Płynie tęskna jego śladem,
Ponad dworem, ponad sadem,
Aż w te strony, kędy drzewa
Tajemnicze gwary wiodą,
I gdzie ptasze lube spiewa
A unosi duszę młodą!
O! tęsknica czasem pali
Niby ogień z pod puklerza,
I choć pierś okuta w stali,
Serce przecie w niej uderza
A na oko łzę sprowadza!
Zwykłe to są życia dzieje,
Zwykła to miłości władza,
Jej rozkosze i nadzieje,
Wszystkie smutki i słodyczy,
Których ziemia nie przeliczy.
Tęsknił Janek, więc o świcie
Ruszył w drogę w imię Boże!
Nie był pewny, czy z nim życie
Zechce Hanna dzielić może.
Gdy był w polu, snop promieni
Przez mgły zaczął wolno spływać
I z pod mroku szarych cieni
Świat przecudny ukazywać!
Janek patrząc w blask ten ranny,

Co mu chmury porozwiewał; —
Do Najświętszej niebios Panny
Z pełnej piersi pieśń zaspiewał!
A dzień wydał się jaśniejszy,
Smutek z duszy gdzieś zaginął,
I świat zdał mu się kraśniejszy
A on stepem niby płynął.
Wiatr mu czesał bujne włosy,
Które z tchnieniem tem igrały,
I ptaszęta swemi głosy
Pieśni Janka wtórowały.
Wreszcie w dali, jak w obrazku
Na zielonem tle murawy
Zeszedł lasek, a przy lasku
Biały dworek, dach szarawy,
Srebrny strumień tuż przy dworze.
Koń iść stępo już nie może!
Janek wspiął się na strzemionach,
Całą przestrzeń objął okiem,
I jak wicher po zagonach
Pędził, kryjąc się obłokiem,
Co z pod końskich kopyt płynął,
Wzlatał w górę i tam ginął.
Dziarski konik w skokach pląsa,
Często bujną grzywą wstrząsa
I rwie ziemię z pod kopyta,
Nozdrza wzdyma, kark przegina

I wędzidłem w zębach zgrzyta.
Rycerz Janek, pańska mina,
Pańskie dziecię znać z daleka
Dzielnie konia swego wiedzie,
Ku dworkowi prosto jedzie —
Może go tam Hanna czeka?
Zwrócił Janek wzrok sokoli
Na bielone dworku ściany . . . .
Snać, że chciał być powitany,
Bo poruszył swój soboli
Kołpak zlekka, dłoń przy oku
Tak pochylił, że blask słońca
Nie przyćmiewał mu do końca
Krajobrazu i widoku —
Patrzył długo nasz młodzieniec
A na lica mu wypłynął
Jakiś uśmiech i rumieniec.

Kiedy lipy stare minął
I do dworu zwrócił z drogi,
To arabczyk wiatronogi,
Co znać musiał pańskie sprawy,
Pański pospiech do tej chaty
Jeszcze chyżej wśród kurzawy
Mknął jak orzeł — ptak skrzydlaty,
I nie wstrzymał się w tym pędzie
Aż na cichej dworku grzędzie.

Już za pierwsze wjechał wrota
I przystanął koło proga,
Kiedy wyszedł pan Lasota
Z powitaniem w imię Boga!
Pan Lasota, ojciec Hanny
Był wysoki i barczysty
Wzrok miał ostry ale czysty.
Smutek widniał nieustanny
Na tem czole pomarszczonem
Pełnym zwojem białych włosów,
Gdyby wieńcem otoczonem.
Musiał wiele przeżyć ciosów,
Musiał stary ścierpieć wiele!
Nie żył z nikiem, jak w kościele
Taką w domu miewał ciszę
I wiódł życie, jakby mnisze.
Trudna była z nim rozmowa
Mówił mało po pół słowa
Więcej patrzał, dumał więcej,
Hannę kochał najgoręcej!
Nie raz długo się wpatrywał
W pięknej swojej Hanny lice,
O czemś marzył i zgadywał
Serca córy tajemnice.
Nie raz patrzył w Hanny oczy
A tu lica jakoś zbladły,
Jakaś chmura czoło mroczy

I dwie gorzkie łzy mu spadły,
Lecz ślad łez tych wnet zacierał,
Wypogadzał smutne czoło
I przez boleść tak spozierał,
Jakby mówił, że wesoło
Jeszcze żyć mu na tej ziemi!
Dziwnie dano nam w podziele
Wraz z troskami tysiącznemi
Szczęścia, doli tak nie wiele.
Czasem szczęście, jak nić złota
Wplata w jasne dnie żywota
Swych uśmiechów wonne róże
Przez czas długi stale, wiernie, —
Ktożby myślał, że przez burze,
Przez łzy troski i przez ciernie
Dalsza życia biegnie droga
Do wieczności i do Boga!
Ktożby myślał, gdy z uśmiechem
Widzi szczęście swoje wszędzie,
Że wspomnienia tego echem
Kiedyś gorzko płakać będzie. —
Dziś się cieszy szczęsną dolą,
Co mu życie opromienia,
Błaha radość, bo wspomnienia
Czasem bardzo — bardzo bolą.
I Lasota w tej ustroni
Długie smutne przeżył lata,

Tu od wspomnień uciekł świata
I po szczęściu tu łzy roni,
Co raz tylko mu zabłysło
Na tej ziemi z woli Pana.
Krótko trwało — potem prysło
Niby bańka snów mydlana.
Nawet Hanna choć wesoła
Nie usunie mu chmur z czoła,
Bo ta córa, ta nadobna
Tak do matki swej podobna,
Jak dwie krople czystej wody,
Ach te same modre oczy,
Kruczych włosów zwój warkoczy
I te same dwie jagody
W pamięć mu przywodzą zawsze
Dawne szczęście, dawne dzieje
I przebytych trosk koleje,
Dawne losy dlań łaskawsze.
I tę sercu, duszy miłą
Towarzyszkę jego życia,
Dzisiaj śpiącą pod mogiłą. —
Ona dawszy u powicia
Jego Hannie ziemskie szaty,
Sama zgasła. — Piękna, młoda
W zasłoneczne poszła światy.
O mój Boże jaka szkoda.
Nawet Hanna jej nie znała,

Nie spotkała się z pieszczotą
Czułej matki, nie słyszała
Słów jej dźwięku, bo sierotą
Od pierwszego tchnienia była. —
Dla Lasoty ta mogiła
Zamykała wszystko w sobie,
On też po niej był w żałobie,
Od lat wielu płakał po niej,
Czasem długo dumał, marzył,
Lub przed Bogiem się uskarżył
Czasem też się modlił do niej!
Janek witał się z Lasotą
I do kolan mu się skłonił. —
Janek także był sierotą,
Po rodzicach już łzy ronił.
Ojciec zginął przed latami,
Broniąc ziemi do ostatka
W krwawej walce z tatarami,
Potem zmarła Janka matka,
Po niej wylał łez nie mało,
Czuł sieroctwo, opuszczenie. —
Dziś nad grobem jej wzrastało
Piąte kwiatów pokolenie.
Przedtem zanim Janek młody
Puścił konia na zawody
Z wiatru tchnieniem, by przez pola
Niósł go chyżo w kraj Podola,

Gdzie Lasotów dom widnieje,
Poszedł pierwej swe nadzieje
Na mogilnym matki progu,
Wyspowiadać Panu Bogu.
Tu odmówił pacierz ranny,
Z tąd na duchu pocieszony
Ruszył w drogę — w gaj zielony
Prosić ręki pięknej Hanny!
Czuł, że jakaś niewidoma
Dziwna ich łączyła siła,
Tak mu Hanna miłą była,
Że ta serca chęć kryjoma
W każdej myśli przebijała,
W duszy coś szeptało skrycie,
Że i Hanna go kochała,
A on za nią dałby życie!
Ha więc cóż miał do wyboru —
Żyć samotnie i w tęsknicy?
Lepiej jechać wprost do dworu
I pokłonić się dziewicy,
Ojcu Hanny wyznać szczerze,
O czem młode marzy serce,
A gdy dobrą chęć odbierze,
Prosić pannę na kobierce. —
Gdy wszedł tylko na pokoje
A Lasota słowa czekał,
Janek dłużej nie odwlekał,

Jął spowiadać chęci swoje
Od pierwszego ich zaczęcia.
A prastarym obyczajem,
Padłszy do nóg ojcu panny,
Prosił, by go wziął za zięcia
I obdarzył ziemskim rajem,
Darząc ręką pięknej Hanny. —

Długo potem rozmawiali
Nikt nie słyszał ich rozmowy,
Aż Lasota wyszedł z sali
I podążył do alkowy,
Którą Hanna zajmowała.
Hanna gościa już widziała,
Podpatrzyła go z daleka
Gdy był jeszcze pod lipami.
Teraz duma, teraz czeka,
Słyszy ojca krok pod drzwiami,
Szafirowe spuszcza oczy
A serduszko tak uderza
Ledwie z piersi nie wyskoczy!
Wszedł Lasota, prosto zmierza
Ku nadobnej swojej córze,
Patrzy na nią, a w lazurze
Pięknych ocząt jej widnieją
Niby trwoga i niepewność,
Niby jakaś smętna rzewność

Zlewająca się z nadzieją. —
Spojrzał ojciec w Hanny lica,
Ona dziwnie pokraśniała. —
Skryta serca tajemnica
W dwa rumieńce się przelała,
Więc i pytać nie trza było,
Czy Jankowi będzie rada,
Jej serduszko, co dlań biło,
Całe w oku się spowiada
I wyjawia chęć tajemną.
Hanno moja, proszę ze mną —
Szepnął ojciec, Piękna Hanna
Idzie przy nim cicha, drżąca,
W białej szacie tak świecąca,
Jako zorza ta poranna,
Co poprzedza dnia promienie
I rozprósza nocy cienie

W chwilę potem już Lasota
Błogosławił dzieci swoje
Na nieznane dnie żywota,
Wspólne szczęścia, wspólne znoje.
Spojrzał w niebo długo, rzewnie,
Usta jakoś w pół otworzył
I nad dziećmi ręce złożył - -
On się myślą modlił pewnie,
Bo powieki mu zadrgały
I po licach łzy spływały.

W parę niedziel nad wieczorem,
Przed Lasoty skromnym dworem
Było gwarno i wesoło —
Wiele szlachty, dziewic wiele
Pozjeżdżało na wesele
I dom cichy zawrzał w koło.
Radość w każdej widna twarzy
I tłum cały się weseli.
Tylko drużba smutno marzy
I radości tej nie dzieli;
Młody Staszek bladolicy
Coś spoziera bardzo smutno,
Musiał dolę mieć okrutną,
Bo łza błyszczy mu w źrenicy.
Lecz w tym całym gwarnym tłumie,
Smutku poznać nikt nie umie,
Bo któż pytam zauważy
Wśród wesołych tylu twarzy
Zachmurzone jedno czoło,
Lub łzy skryte pod powieką,
Które bolem serce pieką,
Gdy tu wszędzie tak wesoło!
Dano ucztę, wina, miody,
Wypróżniały się puhary
W ręce młodej pił pan młody,
Jak obyczaj każe stary. —

II.

W wielkim świata kołowrocie
Jest porządek niezmieniony,
Słońce, księżyc i gwiazd krocie
Mają bieg swój naznaczony,
Wschodzą co dzień, co dzień gasną,
Czas upływa po ich biegu,
A Mistrz wielki dłonią własną
Stawia gwiazdy do szeregu
I kieruje ich obrotem.
W lazurowej tej głębinie,
Co zwą świata kołowrotem,
Jednym torem wszystko płynie,
Wszystko z wielkiej Mistrza mocy,
Który dłonią gwiazdy wodzi
I sprawuje, że noc wschodzi
Zawsze po dniu, dzień po nocy.
Tym porządkiem dawno słońce
Utonęło za górami,
Przyszły cienie, nocne gońce
I objęły jak skrzydłami
Świat ten cały. Od tej chwili
Noc swą władzę rozpostarła,
Pod jej tchnieniem ziemia zmarła,
Żaden więcej ptak nie kwili

I owadów ścichły swary,
I na strzesze już bocianie
Dawno zmilkło klekotanie
I lip starych ścichły gwary. —
W dworku tylko światło płonie
I przez szyby blask rozsiewa
Na uspione stare drzewa
I na wonnych kwiatów skronie.
Tu w komnacie pochylona
Nad dziecięcia jasnym czołem
Siedzi Hanna rozmarzona
Pięknym zda się być aniołem,
Cała dobroć w licach, w oku,
Piękność duszy w niej widnieje,
Niby tęcza na obłoku
Jasne światła w okół sieje. —
Dziecię śmieje się i kwili,
Patrzy w matkę uśmiechniętą,
W tej uroczej, cudnej chwili
Ona zdaje się być świętą!
Nic dziwnego, wszak dziewica,
Gdy przybiera matki miano,
Półświętością zdobi lica.
Bowiem tak jest napisano,
Że w jej sercu Bóg zespolił
Wszystką miłość dla dzieciny,
Że ją do swej wzniósł wyżyny,

Gdy jej matką być pozwolił;
Bowiem tak jest napisano.
Że przez święte matki miano
Chrystusowe słowo wzrosło,
Rozświeciło ciemnie, noce,
Wzniosło kościół na opoce
I królestwo Boże wzniosło!

Janek przy niej stał schylony
I podziwiał wzór niebianki,
Wzór domowych cnót kapłanki!
W lica Hanny zapatrzony,
Nie uważał, że chwilami
Małe dziecię szczebiotało,
Że drobnemi usteczkami
Jego imię wyspiewało;
Nie uważał, że pieszczota
O nim słodkie snuła baśnie
I że stary pan Lasota
Kończył modły teraz właśnie.
On swój pacierz dopowiadał
Bił się w piersi, a na czole
Krzyża święte znamię składał,
Poznać jeszcze jakie bole
Przebył kiedyś, lecz mu lica
Zdobił teraz blask spokoju —
Nie świeciła łzą źrenica,

Snać po ciężkim życia znoju
Miał spoczynek cichy, miły —
A co chwila się spodziewał
Zejść się z żoną u mogiły
Więc i łez już nie wylewał;
Nie trapiła go tęsknota,
Bo przeczuwał, że co chwila
Już dla niego śmierć uchyla
Do wieczności ciche wrota. —
I dla wszystkich dnie w tym dworze
Tak szczęśliwie przepływały,
Jakby nigdy — nigdy może
Dla nich skończyć się nie miały. —

O! ty szczęście! Twe promienne
Wszystkie tchnienia zespolone,
Toż to mary na pół senne
W ludzkich sercach urojone!
Po cóż ludzkość swoją siłą,
Przez uśmiechy w przepaść zwodzisz?
Pocóż rozpacz i łzy rodzisz?
— Ciebie nie ma — i nie było,
Ty gdzieś mieszkasz w innej stronie,
Tam na gwiazdach lub księżycu,
Tam twe światło ciągle płonie —
Człek nie przejrzy się w twem licu;
Lecz go zwodzi twoje tchnienie

Twe oblicze tak ułudne,
Twych czarownych ócz spojrzenie,
Twe uśmiechy boskie cudne,
Że się ludziom czasem zdajesz
Takie bliskie przed oczyma,
Że im swoją dłoń podajesz
A tymczasem Ciebie nie ma!

. . . .
. . . .
. . . .

Ciemno wszędzie, noc ponura
Błękit nieba przysłoniła,
Jakaś ciężka czarna chmura,
Jakby pełna gromów była,
Dziwną ciszę rozpostarła! —
Jak przed rykiem strasznej burzy,
Gdy się czoło niebios schmurzy
Ziemia zwykle jak umarła
Wyczekuje tych przewrotów,
Wichrów, gromów, głośnych grzmotów,
Których siła i potęga
Gdzieś aż na dno ziemi sięga, —

Na tem niebie, co chmurami
Zasępiło wzrok swój łzawy,
Tam daleko za lipami
Błysnął jakiś łuk jaskrawy —

Zła to wróżba, widać z dali,
Łuk się wznosi, iskry lecą,
Blaski coraz szerzej świecą—
To się Stacha wioska pali!
Echo niesie dzwonów dźwięki,
Głośnej wrzawy straszne krzyki,
I wystrzały, i pisk dziki,
I walczących broni szczęki:
Drzą odgłosem lip konary
Że to wojna, że Tatary!

Na Lasoty cichym dworze
Gorączkowe życie wrzało —
Sam Lasota stał w komorze,
Dwóch służących wybierało
Z skrzyń żelaznych proch i ołów,
Wszystko spieszy, bo gość będzie
Lada chwila na tej grzędzie!
Tatar, jakby lot sokołów
Miał w usłudze — tak przez pola
Umie chyżo z wichrem lecieć,
Łuną ognia kraj oświecić
I wyniszczyć pół Podola!
Stary ojciec brał rusznice
Zamki badał — opatrywał,
Miał spokojne przytem lice,
Do pospiechu tylko wzywał,

Choć się każdy dobrze zwijał.
Gdy już skrzynie wypróżnili
Sam Lasota broń nabijał. —
Na majdanie zaś w tej chwili
Janek wprzęgał do karocy
Cztery swoje dzielne konie,
Aby w cieniach czarnej nocy
Dać schronienie dziecku, żonie. —
Biedna Hanna przerażona
Małe dziecię utuliła,
Przycisnęła go do łona
A dziecina jej kwiliła,
Bo ją straszył krzyk zażarty,
Co tu płynął echa zwrotem!
Już Lasota poza płotem
Stawiał czujne w koło warty,
Już w karocy konie stały,
Tylko jechać manowcami,
Lecz w tej chwili zatętniały
I kopyta pod lipami —
Jakiś jeździec czwałem sadził
W drodze szablą głucho brzęknął,
Skręcił z drogi, rów przesadził,
A za płotem zamek szczęknął
I z za liści wprost do góry
Wzniósł się wylot jednej rury.
Jeździec pędził, jak szalony,

A kopyta echem grzmiały,
Koń się pienił, czy był biały,
Pędził widać z tamtej strony,
Gdzie Tatarzy już gościli. —
Kto ten jeździec — w takiej chwili
Nikt się nie mógł o to pytać,
Chyba kula, gdy się może
Z jego sercem będzie witać,
Gdy mu młodą pierś rozporze. —
Jeździec w czwale, a rusznicy
Wylot za nim jak cień chodzi,
Kozak po nim ciągle wodzi
Straszną miarą swej źrenicy
Wreszcie dosyć — ani kroku
Tu kres drogi — szepnął sługa
Ufał ręce — ufał oku . . . . .
Zagrzmiał wystrzał . . . . chwila długa
Upłynęła — Koń bułany,
Przy kulbace krwią zbryzgany
Sam na majdan wpadł przez wrota —
Zadrżał Janek, drgnął Lasota
I zaledwie oczom wierzył —
Koń był Stacha — więc Stach nie żył.
. . . .
. . . .
. . . .
Nim płomienie tej pożogi
W wiosce Stacha zaświeciły,

Nim się w niebo pełne trwogi
Głosy biednych ludzi wzbiły. —
Stach w samotnym siedząc dworze
Dumał, tęsknił. W obie dłonie
Rozpalone ukrył skronie
I coś szeptał — pacierz może,
Przed nim jakiś kwiat zeschnięty,
Snać pamiątka jakaś miła,
Jakiś wspomnień szczątek święty
Przeszłej doli, co się skryła
W zachmurzonym gdzieś obłoku. —
Tą pamiątką już od roku
Stach zbolałe serce pieści,
A tak przywykł do boleści
Cichej, niemej, że jej władza
W zapomnienie go wprowadza
I pozwala mu czasami
Żyć przeszłości marzeniami. —
Los, co musiał być okrutnym
Gdzieś za myślą pozostaje
I Stachowi się wydaje,
Że śnił tylko snem tak smutnym,
Że kwiat zeschły jeszcze żyje
W uśmiechniętej pierwszej wiośnie,
Na gałązce mirtu rośnie,
Patrzy w słońce, rosę pije,
Że go szczęsny snów kochanek

Wplecie jeszcze w ślubny wianek.
On zapomniał, że kwiat młody
Hanny ręką nielitośną
Już zerwany był na gody!
Byłby może płakał głośno,
Gdyby nie to zapomnienie,
Co mu mrzonek światło ranne
Powracało przez marzenie,
Bo on piękną kochał Hannę.
Czemuż Hanna sny rozwiała?
Czemuż serce mu zraniła?
Ona Stacha polubiła —
Ale nigdy nie kochała!
Gdy Stach dumał szczęśliw niby,
W dawnych mrzonkach zatopiony,
Do komnaty wpadł przez szyby
Przeraźliwy blask czerwony,
A z nim razem straszna wrzawa,
Która z każdą chwilą rosła,
Skrzydłem echa wieść przeniosła
Że z tatarem będzie sprawa.
Stach na czole krzyż położył,
Ucałował kwiatu szczątek
I na piersi go swej złożył
Przy skarbnicy swych pamiątek,
Przy swem sercu. W jednej chwili
Ze spokojem w bladej twarzy

Stach był zbrojny — a Tatarzy
Ku dworowi wprost pędzili.
Konia sobie okulbaczył,
Na swą strzechę rzucił okiem,
Żegnał już się z jej widokiem
Raz na zawsze — bo zobaczył,
Że się po niej krwawe wstęgi
W fantastyczne wiły kręgi.

Dosiadł konia dobył korda
I ku bramie gnał z kopyta —
W bramie jednak dzika orda
Wystrzałami Stacha wita. —
Rzuca sobą bułan szparki
I brzeszczoty w ogniu błyszczą,
Kipi wrzawa, grzmią janczarki,
Latające kule świszczą —
I gałęzie z trzaskiem lęcą,
Dym się wznosi . . iskry świecą —
Stach parł konia, a szablicą
Rzucał, gdyby błyskawicą —
I gdzie jego stal błysnęła
Tam jęk głuchy odpowiadał,
Że gorąca krew płynęła,
Że tam Tatar z konia spadał. —
Ile razy wzniósł prawicę,
By nowymi obrotami

Nakierować swą szablicę
Tyle razy krew kroplami
Dłoń ściśniętą oblewała. —
Czerń tatarska źle strzelała —
Żadna kula swoim biegiem
Nie zwaliła jeźdzca z konia,
On tymczasem za szeregiem
Był tatarskim i przez błonia
Gnał jak wicher. Świat mu w oku
Tak się mienił jak pędzona
Wichrem chmura na obłoku
Tylko łuna mu czerwona
Przyświecała ponad drogą. —
Choć tak szybki lot bułanka
Tchy zapierał, Stach ostrogą
Bódł go przecie, bo do Janka,
Bo do Hanny spieszno było. —
Chciał okryty ciemną nocą
Przyjść im jeszcze w czas z pomocą.
Jego serce dla nich biło!
Minął lipy, zwrócił z drogi
Ku Lasoty cichej strzesie,
Koń bułanek, wiatronogi
Poczciwego Stacha niesie!
Lecz w tej chwili poza płotem
Błysnął jakiś blask czerwony . . .
Stach się zimnym oblał potem

I padł z konia krwią zbroczony —
Otwarł oczy nieprzytomnie,
Jakby niemi chciał wydostać!
Z nocnych cieni Hanny postać!
Luba moja — nie płacz po mnie —
Szeptał z cicha rozmarzony,
A korali sznur czerwony
Z piersi toczył się gorący! —
W duszy błogość jakaś świta
Jak poranku blask wchodzący,
On powietrze ręką chwyta —
Chciałby szczęście, co w śnie płonie
W swem rozdartem ukryć łonie. —

. . . .

Życie ludzkie wiele mieści
W sobie smutku i boleści
Rzadko kiedy róże wplata
W ten uwity z cierni wianek.
Ale wieczór — jak poranek
U tamtego granic świata
Ściele piękne wonne kwiecie —
I tak zawsze każdy z ludzi,
Gdy usypia lub się budzi
Czuje szczęście na tym świecie.
Stach usypiał snem rozkoszy,
Cisza wielka była w koło,
Nikt tu marzeń mu nie spłoszy,

Co mu do snu blade czoło
Jak w powiciu otoczyły —
Cuda rajskie mu się śniły
Widział Hannę. — Dziwna Hanna
Skrzydła miała u swych ramion
I anielskich wiele znamion,
A jak gdyby mgła poranna
Tak płynęła po obłoku
Blask na licach i blask w oku
Ponad całym świecił światem.
W tym śnie Janek był jéj bratem
A Stach przy niej stał radosny.
Słuchał pięknych słów jej dźwięku,
Dłoń jej trzymał w swoim ręku,
Zbierał barwy cudnej wiosny,
Tęczę całą zdjął z niebiosów
Kilka gwiazdek, blask miesiąca,
Wplótł to wszystko do jej włosów!
Ona, cicha a świecąca
Z nim bujała po błękicie,
Łącząc ziemskie z niebem życie. —
Hanna mu się uśmiechała
Cała w świetle, w blaskach cała!
Oddychali jednem tchnieniem,
Jednem ramion poruszeniem
Gdzieś płynęli w świat odmienny,
Bez przestrzeni — na pół senny.

W świat zasnuty błękitami
Między niebem a chmurami!
. . . . , ...
Dwór Lasoty zadrżał cały,
Wieść obiegła go piorunem,
Wszystkich usta powtarzały,
Że koń Stacha był zwiastunem
Jego śmierci, — więc Lasota
A z nim Janek z kozakami
Wypadł prędko poza wrota
I w ciemności szedł polami —
Łuna tylko przyświecała
I pożogi odblask krwawy,
Przy jej świetle na tle trawy
Błysła Stacha szabla biała —
Przy niej obok spał szczęśliwy
Stach w śnie błogim. — Czy był żywy,
Czy raniony, czy umarły —
Trudno dociec — usta zwarły
Tajemnicę jego życia, —
Nie znać śladu serca bicia; —
Więc podnieśli i złożyli
Jego ciało na te mary,
Które przywlókł kozak stary,
Ten sam kozak, co nie myli,
Gdy powierzy cel źrenicy
Do wystrzału swej rusznicy. —

Biedny starzec tak spozierał,
Jakby w nim zamarła dusza,
Tylko oczy z łez ocierał
Wylotami od kontusza.
Wreszcie załkał głośno stary
W łkaniu widać ducha mękę
I pochylił się nad mary
I uścisnął Stacha rękę,
Pocałunek na niej złożył,
Pragnął biedak, by Stach ożył. —
. . . .
Szli z marami do zagrody,
Wszystko w ciszy w okół spało
Jak na marach spał Stach młody,
A milczenie przerywało
Tylko wolne ich stąpanie
I kozaka głuche łkanie
I płynące pod niebiosy
Oddalonej rzezi głosy.
Wnieśli mary do komnaty
Wszyscy milcząc stali w koło
Stach miał zimne, blade czoło.
Janek z piersi zdjął mu szaty,
Pierś ta była krwią zbryzgana,
W niej głęboka tkwiła rana. —
Zeschły kwiatek w jej otworze
Drzeniem listków krwią zbroczonych,

Lekkiem tchnieniem poruszonych
Dał nadzieję, że Stach może
Jeszcze żyje. Pierś umarła
Drgać nie mogła. Piękna Hanna
Dłoń na jego czole sparła
A w źrenicy nieustanna
Łza litości jej świeciła,
Dłoń jej życia blask roztoczy,
Bo Stach podniósł smętne oczy
I wyjęknął — Hanno miła,
Hanno droga, nie płacz po mnie. —
Potem cicho nieprzytomnie
O czemś gwarzył niby we śnie
I uśmiechał się boleśnie,
Wszystkich oczy żalem zdjęte
Podnosiły się do nieba,
Wszyscy czuli, że potrzeba
Sakramenta dać mu święte. —
Czas upływał, a nie sposób
Zostać Hannie na tym dworze
W otoczeniu kilku osób,
Kiedy Tatar najść tu może!
Hanna głowę, serce biedzi,
Ale trudno — czas do drogi,
Tu pod bokiem Tatar srogi,
A po drodze gdy sąsiedzi
O napadzie się dowiedzą,

To użyczą im pomocy
A być może w cieniach nocy,
Że i wroga w czas wyprzedzą,
Przytem Stach obudza trwogę,
Bo wymaga wiara święta,
By przed zgonem w Sakramenta
Zaopatrzyć go na drogę.
A on kona widać przecie,
Że niedługo go na świecie
Tak śmiertelnie został ranny.
Póki pora w cieniach nocy
Wsiadła Hanna do karocy
I Stach sparty obok Hanny.
On w gorączce o czemś marzył
I bez ładu z sobą gwarzył.
Janek żegnał, żonę rzewnie,
Żegnał dziecię ulubione
Pieszczotami tak uśpione,
Że mu całe niebo pewnie
Przed oczyma rozwidniło
Żegnał Hannę i Lasota,
W dworku jeszsze cicho było,
Janek milcząc otwarł wrota
Łzami brzmiały mu powieki,
Łzy po licach mu pobiegły. —
Turkot wozu już daleki
Gdzieś się gubił w kraj odległy,

Czemuż Janek płakać może,
Czemuż serce trwożnie drżało,
Wszak nad Hanną już czuwało
Opatrzności oko Boże!
Czasem serce w smętnej nucie
Przyszłe bole nam wyspiewa,
Człek bezwiednie łzy wylewa!
Może Janek miał przeczucie,
Może serce, gdy zadrzało
Przyszłe dzieje wyspiewało.

. . . .

W Stacha wiosce światło gasło,
Cichło echo, jęków wrzawy,
Gasł na niebie blask jaskrawy
To najpierwsze było hasło,
Że nie długo ciszę może
Przy Lasoty cichym dworze
Przerwie walka rozpaczliwa. —
Janek stanął tuż przy płocie
I zatopił wzrok w ciemnocie,
Do milczenia wszystkich wzywa,
A z Lasotą słudzy wierni
Przystanęli z rusznicami —
W tem na drodze pod lipami
Jakby mrowie coś się czerni —
To Tatarzy. — Step zaszumiał
Jakby ich widokiem zdumiał,

Jakby strwożył się w tym lesie
Krwawych noży jataganów
Włóczni, rusznic i kołczanów!
Tentent końskich kopyt niesie
Wojny krwawej odgłos głuchy. —
Płynie orda — czarne duchy
Biegną tłumnie po ofiary!
Już na strzał się przybliżyli —
Strzelać — szepnął kozak stary —
Jego oko nie omyli. —
Zagrzmiał wystrzał jeden, drugi,
Kule lecą coraz gęściej,
Czerwonawe dymu strugi
Przyświecają coraz częściej. —
Zabrzmiał dziki jęk piekielny,
Już się horda rozprószyła,
Każdy do niej strzał był celny
Żadna kula nie chybiła!
Z hordy także padły strzały —
Kule brzękły koło domu,
Lecz nie szkodząc nic nikomu
Tylko drzewa połamały —
Ztąd tymczasem, jeśli który
Ku Tatarom zwrócił oczy
I całusa posłał z rury,
Pewnie Tatar w krwi się broczy:
Ale trudna z nimi rada,

Bo choć kule lecą celne,
Bo choć serca biją dzielne
Tutaj garstka tam gromada!
Hordy liczne się czerniły
I zaległy wszystkie pola,
Niby węże tak się wiły
I składały się w półkola,
I pomału posuwały
Ku dworowi swoje czoła,
Chcąc opasać go dokoła. —
Tu rusznice ciągle grzmiały,
W walce długi czas uchodzi
A niepewność już się budzi;
Nikt z pomocą nie nadchodzi —
Tu zaledwie kilku ludzi
Z sił upada od znurzenia
A tu Tatar oblężenia
Prawie w oczach dokonuje —
Sam Lasota grozę czuje —
Drżącym głosem strzelać każe
Na tatarskie przednie straże,
Co z wojennej szły ochoty,
Lecz w tej chwili do Lasoty
Przypadł jeden kozak młody —
Dziwnie blade miał jagody
Strach zaiskrzył mu źrenicę
A rękoma, drżąc obiema

Próżną ściskał już rusznicę
I wyjęknął: — prochów nie ma.
Jakoż zmilkły wszystkie strzały,
Jeszcze jeden padł u płota
Janek stanął osłupiały,
Zrozpaczony stał Lasota!
Trzask się rozległ na majdanie,
To Tatarzyn płoty walił —
Wrzawa, krzyki i wołanie
Wróg zwycięzca dwór podpalił. —
Strzelił w niebo blask czerwony,
Wiatr płomieniem zaszamotał,
Bocian z gniazda wypłoszony —
Wzleciał w górę i klekotał
Jakąś skargę snać żałosną
Na swą dolę nielitosną

. . . .

Wstało słońce tak rumiane,
Jakby w krwi się ukąpało,
Jakby było krwią zbryzgane —
Jakoś smutno przyświecało
Cichej ziemi. Promień złoty
Padł na miejsce, gdzie Lasoty
Widniał wczoraj dom wesoły;
Dziś w tem miejscu uroczysko
Leżą gruzy i popioły

I z ścian białych rumowisko. —
Już nie widać srebrnej rosy,
Co zdobiła kwiaty, drzewa,
Zmilkły ptasząt spiewne głosy,
Żaden ptak już tu nie spiewa,
Opuściły smutne strony
Szukać życia i wesela,
Bo tu pola śmierć zaściela,
Bo tu kraczą kruki – wrony!
Na zczerniałej gruzów kupie
Widać bronie pokruszone,
Widać blade twarze trupie
Męką śmierci pokurczone. —
Trupów leży bardzo wiele,
Znać po każdem trupim ciele
Całą grozę chwil przeżytych
Zanim dusza uleciała
W kraj spokojów niespożytych
Przed tron Króla pełen chwały
Po zapłatę lub po karę. —
Widać głowy pościnane,
Bielmo śmierci w oczach szare
I krew, co się jeszcze broczy!
A zbielałe martwe oczy
Niby patrzą na rumiane
Słońca brzaski, co w obrazie
Pełnym grozy milcząc toną!

Jeden z trupów dłoń skurczoną
Oparł widać na żelazie,
Chcąc go wydrzeć z piersi głębi —
Ale dzieła nie dokonał
Sparł dłoń tylko i z tem skonał. —
Teraz wiatr mu czoło ziębi
Mierzwi teraz włos mu siwy,
Włos, co jeszcze więcej zbielał
Zanim skonał nieszczęśliwy —
To był kozak, co tak strzelał,
Że nie chybił nigdy w życiu, —
Teraz w śmierci już powiciu,
Spał spokojnie i przed Bogiem
Z swoich czynów sprawę zdawał!
Przed spalonym dworu progiem,
Gdzie tlił jeszcze drzewa kawał
Z ściany dawno spopielonej, —
Leżał drugi trup nam znany
I w kałuży krwi czerwonej
Swe otwarte topił rany,
Z których dawno krew wybiegła.
To Lasoty postać wzniosła
Przy swym własnym progu legła,
Szabla z ręką niby zrosła
A na krwawej mu pościeli
Dziwnie strasznie włos się bieli. —
Kozak młody przy Lasocie,

Ten co mówił jeszcze wczora,
Gdy Tatarzyn po ciemnocie
Niósł zagładę im do dwora,
Że już prochów nie ma więcej —
Spał kozaczek — w pół dziecięcej
Jego twarzy poznać jeszcze
Te przedśmiertnej trwogi dreszcze
I żal życia, co w zaraniu
Zgasnąć miało mu na wieki —
On też w ciężkim swem konaniu
Gdzieś do nieba wzniósł powieki,
Bo otwarte miał źrenice,
Blade czoło, blade lice.
A na ustach, co się zwarły
Wszystkie żale mu przymarły. —
Oprócz tego śniadych twarzy
W tej gromadzie zimnych trupów
Mnóstwo widać — to Tatarzy,
Którzy brańców ani łupów
Dla swej braci nie zabrali!
Oni także cicho spali,
Bo śmierć wszystkich łączyć umie. —
Tu na krwawych zgliszcz skorupie
Spi spokojnie trup przy trupie,
Cisza, zgoda w całym tłumie
Tylko w szczątkach poznać ciała,
Że tu kiedyś walka wrzała,

Świadczą o tem blade lice
Wraz ze źródłem krwi obrzydłem,
Lecz życiowe ich różnice
Śmierć zrównała swoim skrzydłem.

III.

Późną nocą w chaty progu
Siedząc szeptał pleban stary
Długie modły Panu Bogu. —
Ciche słowa, pełne wiary
Płyną z głębi jego ducha
I unoszą się w niebiosa,
Gdzie Bóg pewnie modłów słucha. —
Na tle nocy siwowłosa
Głowa starca pochylona
Jak bladawy cień widnieje; —
W koło czarnych chmur opona
Czasem lekki wietrzyk wieje,
Jakby zdala znosił wieści —
Liśćmi drzewa zaszeleści
Lub uderzy w dach kościoła
Zlekka wzruszy spiące dzwony,
Z nich dobywa głuche tony
I tę ciszę, co do koła
Świat objęła swem ramieniem,
Wiatr przerywa chłodnem tchnieniem.

Pleban zwykle długo w nocy,
Odmawiając modły siedział,
Czasem zapiał kur z północy,
A on jeszcze sam nie wiedział,
Że za chwilę świtać zacznie. —
Po kogutów głośnej zrzędzie
Zawsze mawiał — słota będzie —
Aż na wschodzie gdy nieznacznie
Pierwsze brzaski się zjawiały,
Wstawał pleban osiwiały
I zamykał się w komnacie. —
Dziś podobnie przy swej chacie
Długo siedział, długo czuwał,
Kornie w ziemię chylił skronie,
Razem obie składał dłonie
I paciorki w nich przesuwał.
Nagle ciszę i modlitwy
Przerwał tentent niby burza
Jakby płynął z pola bitwy! —
Z nocnych cieni się wynurza
Jakiś odblask niby zorzy —
Pierwszy odblask jasny horzy,
Lecz blednieje i ciemnieje
Wiart silniejszy coraz wieje,
Co raz bliżej grzmią kopyta.
Pleban sam się siebie pyta,
Co się w tamtej stało stronie,

Czy Lasoty dworek płonie? —
I znów cisza — ta znacząca,
Co swem tchnieniem spokój zmąca —
Cisza dziwna i straszliwa —
Znów się wicher silny zrywa
Strząsa liście, gnie konary!
Niespokojny pleban stary
Już przeczuwa, że tu wieści
Pełne grozy i boleści
Wicher z dali mu naniesie
Echo odgłos kopyt niesie!
Nie mógł długo myśleć o tem,
Bo w tej chwili poza płotem
Zadudniła już kolasa,
Ksiądz do furty się posunął
I różaniec wpiął do pasa
A wrzeciądze sam odsunął. -
Czwórka wpadła na podwórze,
Ksiądz zdziwiony się wpatrywał
I czuł dobrze, przewidywał,
Że jakoweś pewnie burze
Gości nocą mu znosiły.
— Ojcze — zabrzmiał głos niewieści
Pełen trwogi i boleści
I rozpacznej jakieś siły. —
— Hanna — jęknął ksiądz zdziwiony
Co się stało — wielki Boże —

— Tatar zaszedł w nasze strony
I nasz dworek zniszczy może. —
— Mój wszechmocny niebios Panie —
Użycz biednym swej opieki —
Mówił pleban i powieki
Wzniósł do nieba — To skaranie
Z tym pohańcem — wychodź żywo —
Nie płacz, nie płacz Bóg nad nami!
A w tej chwili i łuczywo
Jasno błysło promieniami
Na majdanie przy kolasie,
Bo i służba już w tym czasie
Smutnych gości otoczyła. —
Teraz ujrzał pleban stary,
Że mu Hanna przywoziła
Także Stacha. — Ten na mary
Mógł od razu być złożony
Twarz miał bladą gdyby kreda
Z piersi sączył zdrój czerwony!
— O mój Boże bieda — bieda —
Brzmiały głosy do około
A ksiądz pleban do kościoła
Już pospieszał po sakrament.
Przy kolasie pomieszane
Liczne głosy w jeden lament,
Jakby fale wód wezbrane —
Mnóstwo pytań, odpowiedzi,

Każdy jęczy, każdy biedzi,
Tylko ranny Stach nie jęczy,
Spi rozkosznie — niby w tęczy
Tak się w blaskach skrył łuczywa —
Gdy chwilami z nich wypływa
Jego zimna twarz bladawa,
Wszystkim w koło tak się zdawa,
Że on snów rozkosznych wiele
W rozmarzonej duszy pieści,
Że w nim nie ma już boleści.
W tejże chwili przy kościele.
Dzwięknął srebrny odgłos dzwonka
I wyłonił się z przedsionka
Chłopiec z światłem w latarence
I ksiądz z Ciałem Pańskiem w ręce.
Wszystko klękło przy karocy,
Wszystko zmilkło, trzask łuczywa,
Głuchą ciszę tam przerywa —
Dziwny obraz na tle nocy. —
Stach nie mówił i nieskarżył
Swoich czynów przed kapłanem,
On w milczeniu tchnienia warzył
I w milczeniu z niebios Panem
Jednał duszę myśl i serce!
Po ostatniem namaszczeniu
Wzięli Stacha na kobierce
I w czeladki otoczeniu

Do plebańskiej wnieśli chaty!
Kiedy weszli do komnaty
Hanna księdzu powiadała!
O wypadkach strasznej nocy,
A ksiądz radził, by Wszechmocy
Dom rodzinny poleciła:
— Klęknij Hanno moja miła
— Niech Cię rozpacz nie unosi —
Mówił Starzec, — ten kto w wierze
Ulgi szuka, łzą uprosi
Zawsze Boże zmiłowanie,
Ufaj Bogu mów pacierze.
Hanna klękła, ciche łkanie
Rwało słowa jej modlitwy. —
Wyszedł pleban a z oddali
Zaleciała wrzawa bitwy
I czerwony łuk się szerzył,
Pewnie jego dwór się pali —
Myślał kapłan — ale wierzył
Że Lasota silnej dłoni
Lichej hordzie się obroni;
Więc przykazał, by z dzwonicy
Bliskiej sioła okolicy
Dzwonem trwogę ogłoszono.
Na głos dzwonu życie wrzało
I przed domem na majdanie
Ludzi sporo się zebrało,

Przy sędziwym swym plebanie
A z pospiechem się zbrojono. —
Co pod ręką tylko było
To się w oręż zamieniło.
Otworzyły się komory
Niby jakie arsenały,
Dziwne roty w siole stały
Zbrojne w kosy i topory.
A niewiasty, co żelazem
Swojej wioski nie obronią
Z modlitwami przed obrazem
Matki Boskiej — łzy swe ronią
I zawodzą w swej żałości,
Patrząc na swe niemowlęta:
Pociesz Matko! Twej litości
Żebrzem w smutku — Panno święta
A Panienka z za ołtarzy
Patrzy na nie niby żywa —
Taka smutna i tęskliwa,
Taka miłość widna w twarzy,
Że już wątpić nikt nie może
W miłosierdzie wielkie Boże!
Wreszcie świtać zaczął dzionek,
Zczerwieniałe dachy drzewa,
Lecz na roli dziś nie spiewa
Skrzętny rolnik, ni skowronek!
Dzień zabłysnął — słońce krwawe

Z za dalekich jarów kroczy,
Patrzy w ludzi — ale łzawe
I strwożone wszystkich oczy!

. . . .

IV.

Noc ponura, coś majaczy
Na równinie w czystym polu —
Wczora tutaj nic nie było —
A dziś dziwo, coś się marzy,
O czem ludziom się nie śmiło
Nowe sioło na Podolu!
Tak wyrosło jak z pod wody
Widać domy i zagrody
I wysokie jakieś płoty —
To nie domy — to nie sioło
To wojenne są namioty,
To wojsk naszych zbrojne czoło!
Widać obóz wojsk koronnych,
Co na kresy ciągną sznurem,
Co dla sadyb tych bezbronnych
Niezłamanym staną murem!
Cichy obóz ognisk parę
Ledwie trochę tylko świecą,
Płomień tłumią ciężkie szare
Mgły z błękitów, które lecą. —

Słychać tylko czat stąpanie
I miarowy dzwięk pałaszy,
Słychać końskie chrupotanie
Przy opałkach pełnych paszy!
Jeden tylko oświetlony
Widać namiot w mgieł osłonie,
Tu wódz siedzi niestrudzony
Przed nim jasno światło płonie,
A on ręką o stół wsparty
Okolicę pilnie bada
Wydobywa różne karty
I z nich kraju kawał składa,
Okiem wodzi i planuje
Swej chorągwi przyszłe ruchy —
Lecz w tej chwili odgłos głuchy
Gdzieś z oddali zalatuje,
Coś jak gdyby walki wrzawa,
Jakby z wrogiem była sprawa. —
I dzwięk dzwonów po równinie
Żałośliwie jęczy w dali
I po rosie w niebo płynie
A na niebie łuk się pali!
Czaty stają — wódz uchyla
Białą ścianę przy namiocie
I spogląda, jak co chwila
Snopy iskier po ciemnocie
W górę płyną na mgły lecą,

Grozą ziemi biednej świecą,
Rozwidniają kawał nieba,
Nad niedolą płaczącego.
— Hej tam widać nas potrzeba —
Trza otrąbić wsiadanego!

. . . .

I niedługo w chwilę małą
Echo trąbki smutno grało
I płynęło po równinie
Tak jak odgłos spiewki płynie!

. . . .

. . . .

Już nad ranem mgły przerzadły
I na ziemię rosą spadły —
Wódz — pułkownik przodem jedzie
Za nim długi sznur rycerzy,
Których wódz ten w bój powiedzie,
Słychać tylko, jak puklerze
Brzęczą czasem, lub jak konie,
Sadząc kłusem po przed błonie
Swoim jeźdcom wciąż prychają —
— Zdrów mój koniu — częste głosy
Po szeregach przebiegają. —
Tuman kurzu z nimi leci, —
Gdy poruszy wiatr kurzawą
To i zbroja się zaświeci. —
Już i słońce wyglądnęło

Choć źrenicą dziwnie krwawą,
Lecz nadzieję w świat wionęło!

. . . .

U plebana przy kościele
Stało sielskich ludzi wiele. —
Gdy gromada głośno gwarzy
Tuman wzniósł się po nad drogą,
Wszystkich serca biją trwogą,
Wszyscy sądzą, że Tatarzy
Pędzą do nich rzeź wyprawić
I w krwi ludzkiej sioło spławić —
Spoglądali więc boleśnie
Ale prawie równocześnie
Zbroja w słońcu zabłysnęła!
Szmer się ozwał pośród ludu,
W każdem oku łza stanęła
Każdy czuł, iż doznał cudu!
I z wdzięczności serca tają
Słychać szmery co raz bliżej
Tuman płynie co raz wyżej
I rycerze się zbliżają —
A niedługo już w komnacie
Wódz o drogę wypytywał —
Nie zatrzymał się w tej chacie'
Z trudów drogi nie spoczywał —
Wypadł z domu dosiadł konia
Błysnął szablą i przez błonia

Gdyby wicher pognał przodem
Przed rycerskim swym narodem
I utonął znów w kurzawie.
Tylko zbroi głuche chrzęsty
Tylko kurzu tuman gęsty
Świadczą o tem, że na jawie
Tę chorągiew tu widziano.
A tymczasem lica Hanny
Barwę miały znów różaną
Gdyby świeży blask poranny —
Hanna nawet nie myślała,
Że ta barwa lic różana
Tak jej prędko zgasnąć miała,
Że ją ręka niebios Pana
Strasznym dotknie dzisiaj ciosem —
W duszy jej nadzieja rośnie
I uśmiecha się radośnie
A do księdza takim głosem
Tkliwym, czułym się ozwała,
Że ksiądz nawet o oporze
Myśleć nie mógł. Tam we dworze —
Biedna Hanna powtarzała —
Już po bitwie pewno będzie,
Ja tak pragnę zaraz w drogę
Ku rodzinnej lecieć grzędzie,
Ja potrzebną tam być mogę,
Ojcze litość miej nademną

Ojcze drogi jeddź tam zemną!
Pleban bardzo był wzruszony,
Bo w jej głosie miłość cała,
Miłość córki, miłość żony
Do litości przemawiała —
Więc się prosić nie dał długo —
Zaraz z jednym starym sługą
W kałamaszkę zaprzągł konie
Co najlepsze miał we dworze,
Wsiedli z Hanną i przez błonie
Pojechali w Imię Boże!
Droga niezbyt była długa
A potrzaskiem bicza częstym
Czas podróży skracał sługa. —
Za tumanem kurzu gęstym
W krótce drzewa zaczerniały, —
Z drzew powinien się wyłonić
Już i dworek Hanny biały —
Co go mogło tak osłonić?
Przecie widny był stąd wczora!
Więc po drodze, co koń skoczy
Popędzili wprost do dwora —
Nagle Hanna w dłoniach oczy,
Płacząc skryła, bo poznała,
Że tam gdzie jej chata stała
Hulał wicher po popiele —
Zniknął dworek ulubiony,

Nad zgliszczami kruki, wrony,
Czując pewnie trupa wiele,
W różne głosy zakrakały —
Powęglone czarne słupy
Z tej dymiącej gruzów kupy
Jak szkielety wysterczały. —
Przez zwalone dawne wrota
Wbiegła Hanna — drgnęła, zbladła
— Ojciec jękła — i upadła —
Przed nią leżał pan Lasota
W krwi skąpany jak w potoku
Z zimnem licem, z bielmem w oku,
Co się w śmierci nie zawarło —
Z przerażeniem, co przymarło
Do lic jego skamieniałych! —
Pleban spojrzał przerażony,
W jego oczach osłupiałych
Cały odblask krwi czerwony
Pomięszany z żalu łzami
Streścił wszystkie w nim cierpienia —
Stał więc pleban nad trupami
Jak trup blady i do cienia
Był podobny wtedy więcej,
Niż do człeka żyjącego. —
Złożył na krzyż obie ręce
A łez strumień z oczu jego
Po przybladłych licach płynął.

Boże — szeptał — jak liść drżący
Boże! Boże! wszechmogący!
I Lasota druh mój zginął!
Chwilę długą jak wiek cały
Stał ksiądz pleban skamieniały. —
Jego duszy zaś cierpienia
Myśl mu wszystką rozstrzeliły
Stał wśród trupów starzec biedny,
Stał bezradny i bezwiedny
Myśli zebrać nie miał siły. —
Hanna cichym snem ujęta
Jak trup blada — gdyby gromem
Uderzona, nagle ścięta
Przed zburzonym swoim domem
I przed ojca trupem krwawym
Tak leżała jak umarła. —
Pierś jej w tchnieniu się zawarła. —
Pleban, tocząc okiem łzawym
W powikłanej myśli kole
Spojrzał w Hanny blade lice
Ale własnej duszy bole,
W pół zmartwiałe już źrenice
Po zaskrzepłej krwi skorupie
Przesuwały bez pamięci.
Widział, że spi trup przy trupie,
Że tu wszyscy snem ujęci;
Każdy leży odrętwiały,

Jak zimnego głazu kawał,
Ale trupów osłupiały
Pleban więcej nie poznawał. —
Patrząc w Hannę przez czas długi,
Nie rozpoznał jej z wejrzenia —
Trup — wyszepnął — trup, jak drugi,
Wszystko trupy. — Grom cierpienia
Tak straszliwie wstrząsł plebanem,
Że straciwszy myśl w obłędzie,
Już nad sobą nie był panem.
— Krew powtarzał, — krew tu wszędzie
I przysłonił łzawe oczy,
Jakby go ten obraz palił —
Mgła dziwaczna wzrok mu mroczy
I ksiądz pleban się powalił
Między trupy pokrwawione!
Na te dzieje poglądało
Słońce z nieba załzawione —
Stado kruków przeciągało
Nad ciałami ofiar wojny,
Które w wspólnym spały grobie.

Widok tyle był spokojny,
Ile grozy mieścił w sobie,

V.

Pan pułkownik swej drużynie

Nie dał nigdzie odpoczynku!
Po najezdcy tatarzynie
Widział ślady, więc w ordynku,
Jak do bitwy już sprawionym,
Pędził ile sił starczyło
Krajem, ludzką krwią zbroczonym.
I drużynie spieszno było
Dopaść dzikę ordę w polu,
Szablą krwawą błysnąć w oczy,
Kiedy Tatar w krwi się broczy,
Pomścić mordy na Podolu. —
Gdy chorągiew w pełnym pędzie
Po Lasoty dawnej grzędzie
Mknęła, gdyby błyskawica,
Każdy rycerz ku tej stronie
Zasępione zwracał lica, —
W oku żal każdemu płonie;
Ale nie znać przerażenia,
Ni łzy nie znać w żadnem oku —
Smętność w rozpacz się nie zmienia!
Do takiego już widoku
Każdy rycerz przywykł zdawna,
Już nie jedna bitwa sławna
Przed ich okiem się rozgrała,
Już w niejednej udział wzięli,
Oni nie raz już widzieli
Wychodzące dusze z ciała.

Nic dziwnego synom wojny
Widok krwawych strug czerwonych,
Widok trupów pobroczonych. —
Z nich był każdy tak spokojny
Jak dziewica, gdy marząca
Wzrok zatapia w twarz miesiąca.
Konie czasem im parskały,
Rwąc przed sobą przestrzeń ziemi,
I proporce łomotały,
Prująć wicher wstęgi swemi.
A pod miarę końskich skoków
Pochylały się przyłbice
I brzęczały u ich boków,
Jak dzień lśniące ich szablice —
Rzekłbyś — widząc tych rycerzy,
Że to chmura kuta z stali
Z wichrem swoją siłę mierzy,
Że się na niej słońce pali
I złociste swe promienie
Na puklerzach lśniących kruszy!

. . . .

Boże! Boże! Okiem duszy
Widzę jeszcze po nich cienie!
I żal jakiś serce chwyta
Po rycerstwie naszem dawnem,
Po rycerstwie dzielnem, sławnem,
Którem się Rzeczpospolita

Od najazdów mogła bronić.
Gdy wróg rzucił swe zagony
W ziemie Litwy lub Korony,
Miał kto piersią ją zasłonić —
Dziś w mogile snem ujęta
Drzemie Polska pogrzebana,
Synów wiążą straszne pęta
Narzucone przez tyrana!
Już nie dźwieczą na nich zbroje,
Co broniły swej zagrody,
Lecz ich grzebią trudy, znoje
I sybirskie grzebią lody. —
Nam i łez nie wolno ronić,
Trza osuszyć nam źrenice —
Szablą nie ma czego bronić,
Bo zatarły się granice
Przy mogile naszej matki!
Dziś bez granic w naszej doli
Możem dążyć do Kamczatki
Na najdłuższe dnie niewoli!
Boże! Boże! gdzież przeszłości
Utonęła nasza zorza!?
Gdzie się ukrył blask świetności,
Czy za góry? czy za morza?!
Gdzież zniknęły czoła harde,?
Serca pełne cnych płomieni,
Piersi dzielne, dłonie twarde?

Gdzież to znikło? Czy w przestrzeni,
W której drzemią tylko zmarli, ?
Z której powstał zniewieściały
Niewolniczy ten ród karli?
Sercem nizki, duchem mały
Osłabiony i niemężny!?
Gdzie się podział czas orężny?
Czy już nigdy nam nie wróci,
Nigdy ducha nie ocuci?!
O dziś nie ma białych ptaków,
Ni proporców, ni puklerzy,
Ni oręży, ni szyszaków,
Nie ma naszych już rycerzy,
Których niczem nikt nie spłoszył
Choćby świata pół spustoszył. —
Nia raziła ich walk wrzawa,
Ni muzyka dział ognista, —
Nie straszyła łuna krwawa,
Ani siejba kul siarczysta!

. . . .

Gdzież zaszedłem — ach wybaczcie,
Zbiegłem z drogi za daleko —
Aż łzy żalu w oczach pieką —
Wy na moje łzy nie patrzcie,
Ale wróćcie ze mną razem
Z wojny spotkać się z obrazem —
A gdy żałość serce mroczy

I odnawia dawne bole,
Ręka moja w krwi się broczy,
Jak broczyło się Podole
W owe czasy, kiedy wojna
Wrzała w Polsce nieustanna,
Kiedy Polska była zbrojna,
Kiedy żyła moja Hanna!

. . . .

. . . .

Za Stachowej wsi zgliszczami
Pan pułkownik już się zmierzył
Z półdzikimi Tatarami. —
Jak grom z nieba w nich uderzył.
Gdy się w dali ukazały
Naszej jazdy groźne znaki,
Pochylały się kołpaki.
I piszczałki zapiszczały —
Tatarowie szyk składali
Jak myśl szybko. W jednej chwili
W dwa półkola się związali
I broń różną najeżyli. —
Był to czambuł dobrej broni,
Każdy Tatar miał rusznicę
I jatagan w każdej dłoni
Siał na okół błyskawice. —
Były także inne znaki
W noże, w łuki pozbrojone

A ci mieli sahajdaki
Przez ramiona przewieszone!
Przed największym ich czambułem,
Wódz tatarski się uganiał
Zwany u nich asawułem. —
Często głowę na dół skłaniał,
Jakby jakieś bił pokłony,
Rękę wznosił i zielony
Piernacz ordzie okazywał —
Snać do męstwa ich przyzywał!
A pułkownik, co koń skoczy,
Mknął przed dziatwą swą bojową,
W czambuł utkwił groźne oczy,
Jak lew hardo potrząsł głową,
Podniósł w górę szablę lśniącą
Koła skreślił migotliwie
I drużynę w ślad pędzącą
Tak rozwinął na tej niwie,
Że się jednym zdała murem.
Rycerz stanął przy rycerzu,
Pancerz błysnął przy pancerzu,
Okrzyk walki zabrzmiał chórem.
Echo niosło go po jarach
Po dolinach i po wałach —
Z drugiej strony przy Tatarach
Zabrzmiał okrzyk: Ałłach! Ałłach!!
Teraz inne znowu głosy

Uleciały pod niebiosy.
Dym półkola pookrywał —
Stuk muszkietów przy czambule
Raz po razu się odzywał
A w powietrzu gęste kule
Przeraźliwie zawarczały. —
Czasem dzwięknął pancerz biały,
Albo szyszak się usunął,
Czasem rycerz z konia runął,
Wypuściwszy szablę z dłoni. —
Ale inni szereg zwarli
I spłoszone swoje konie
W lot wichrowy przodem parli —
Jak huragan tak lecieli
Na Tatarów łuk kolisty —
Słychać grzymoty z strzelb gardzieli
I warczących szabel świsty!
I chrzęst zbroji pomięszany
Z jataganów krótkim dźwiękiem,
Z konających głuchym jękiem,
Końskim kwikiem przerywany!
Czasem z tłumu się podnosi
Szabla cała krwią ociekła,
Mignie jako widmo z piekła
I śmierć znowu w tłum zanosi!
I jatagan czasem błyśnie
Ponad głowy wyniesiony

I powraca okrwawiony
Nim cios szabla w dłoń tę ciśnie,
Co tym nożem kręci w koło.
Pan pułkuwnik jak przed bitwą
Tak i w tłumie trzymał czoło —
Ciął swą szablą, gdyby brzytwą. —
Gdzie ją zwrócił gasło życie
I noc wroga ogarniała —
Z ran otwartych krew obficie,
Jak ze źródła wypływała. —
Tak się rzucał wódz rycerzy
Po tym tłumie, jak szalony,
I śmierć sieje gdzie uderzy!
Nagle piernaczmu zielony
Zamigotał przed oczyma
Koń poskoczył nozdrza wzdyma
A nad głową pułkownika
Już jatagan zakrwawiony
Drze powietrze w różne strony
Takim pędem, że aż znika
I kształt w oczach przeistacza.
Czasem brzęczy głowy blisko,
Albo warcząc w pierś zatacza
Błyskawiczne swe kolisko.
Tatar różne robił skoki,
Jataganem bieg omylał,
Często sam pod końskie boki,

Chroniąc siebie głowę schylał.
I znów wznosił nóż swój krzywy . .
Naraz — szabli świst straszliwy
Nad tatarskim wodzem brzęknął —
Tatar — zachwiał się i jęknął,
A jatagan spadający
Tuż przy samej ziemi błysnął —
Wódz tatarów konający
Pełną gardziel krwi zachłysnął,
Bo mu szabla pułkownika
Do pół szyji się wrąbała
Tuż powyżej obojczyka. —
Orda z krzykiem już pierzchała
Wódz jej trupem się zesunął,
Zwiesił głowę odrąbaną
I bezwładnie z konia runął —
Tak zwycięstwa dokonano.
Już milknęła wrzawa bitwy
I rycerze się kopneli
Do zaciekłej tej gonitwy,
W której wrogów w pień wycięli. —
Para z koni tam buchała,
Wznosząc tuman nad trupami —
Pod końskiemi kopytami
Krew jak woda chlupotała. —
Pośród jęków i zamętu,
Pan pułkownik gna z kopyta —

O tatarski tabor pyta,
Bo gdy wroga zniósł do szczętu
Tabor pewnie musiał zostać.
Jeńców wódz ten chciał odebrać,
Tabor w ręce pragnął dostać;
Nie mógł jednak wieści zebrać. —
Rzekłbyś kamień wpadł do wiru
I utonął w wartkiej fali —
Tak wieść głuchła gdzieś w oddali
A tymczasem do jasyru
Pewnie orda klęską wściekła
Na arkanach jeńców wlekła. —

VI.

Było blisko już południe —
Jasne słońce przyświecało
Niby smętnie — ale cudnie!
Tu w tej stronie wszystko spało
Tyle ofiar śmierć zgarnęła,
Że tu cała okolica
Jakieś dziwne martwe lica
Ku rycerzom wysunęła, —
Bo drużyna powracała
Do Lasoty zgliszcz dymiących,
Popod szereg lip szumiących
Wolnym krokiem przesuwała. —

Zgliszcza martwym swym widokiem
Przypomniały uroczysko. —
Gdy pułkownik był już blisko
Mimowoli rzucił okiem
Ku tej stronie. Tam widniała
Twarz mu nieco pierwej znana
Młodej Hanny i plebana,
Poznał po nich, że tam tlała
Jeszcze jakaś iskra życia,
Którą w piersi swej zamknęli,
Poznał po nich, że posnęli
A bolesne mieli śnicia,
Bo ich twarze choć kamienne
Od skostniałych się różniły —
Wyglądały, gdyby były
Wpół umarłe — a wpół senne!

. . . .

Długa chwila upłynęła
Nim pomdlałych ocucono,
Biedna Hanna pierwsza pono
Błędne oczy odemknęła
I powiodła niemi w koło
Nieprzytomnie i bezwładnie!
Jęk wtórował w piersi na dnie
Jej spojrzeniom. Blade czoło
Rozpacz straszna przysłoniła
Niby krwawy z cierni wianek!

Hanna cicho powtórzyła
Kilkakrotnie: Ojciec! Janek!
I przez usta zaciśnięte
Piersią łkanie głuche rwało
Jakby serce bolem zdjęte
W biednej Hannie już konało.
Pan pułkownik i rycerze
Łzy kryjomo ocierali,
Bo choć piersi ich pancerze
Zamykały kute z stali, —
Przecie pod tą zbroją twardą
Którą strugi krwi oblały,
Pod podstawą sztywną, hardą
Czułe serca uderzały. —
Wreszcie pleban oprzytomniał,
Wlókł się między rycerzami
I o domu swym zapomniał,
Gorzko płakał nad trupami,
Bo znajomych swych poznawał. —
Między niemi trup bez twarzy,
Którą ścięli mu tatarzy
Plebanowi się wydawał
Trupem Janka. Hanna była
Na wpół prawie obłąkana,
Choć źrenica jej patrzyła
To rycerzy i plebana
Nie poznała, nie widziała, —

Bezprzytomnie sama sobie,
Łkając ciągle powtarzała
Ojciec — Janek — obaj w grobie!
. . . .
Grób tymczasem był otwarty
Tam złożono wszystkie ciała —
I drużyna nad nim stała
I ksiądz pleban stał oparty
Na ramieniu pułkownika!
To był pogrzeb chrześciański!
Wszystkie serca żal przenika —
A dzwon z dali Anioł Pański
Jęczał echem ku mogile,
Która razem trupów tyle
W swoim łonie ukrywała. —
Ksiądz się modlił — w koło cała
I drużyna z nim bojowa
Powtarzała smutne słowa,
Które rwało Hanny łkanie:
Racz dać wieczny odpoczynek
Duszom zmarłym niebios Panie! —
W drugim dole był spoczynek
Dla Tatarów przeznaczony,
Legł przy trupie trup zbroczony!
Tam ich wszystkich pochowano
Bez modlitwy łez i bolu:
Dwa kurhany usypano, —

Dwa kurhany na Podolu
Jak z pod ziemi wyrastały,
Równe sobie — niby bratnie,
Że nie pierwsze, nie ostatnie —
O tem lipy mi szumiały.

VII.

Bóg, zsyłając dopuszczenia
Wzmacnia ducha równocześnie,
By nie upadł wśród cierpienia
Pod ciosami, co boleśnie
Czasem w ludzkie serca biją!
Wśród życiowych burz zawieji
Prawdy wiary przecie żyją —
Z nich się spokój dla nas rodzi
I spoczynku cień nadzieji!
Ztąd też zawsze to pochodzi,
Że najgłębsze serca rany
Zabliźniają się pomału —
Z niebieskiego piedestału
Koi smutek Pan nad Pany.
Tym porządkiem postępuje
Wszystkich ludzkich uczuć zmiana —
Cicha boleść zastępuje
Pierwszą rozpacz, którą rwana
Dusza ludzką — traci siły —

Po boleści smutek łzawy
Wiąże wszystkie serca sprawy,
I najczęściej do mogiły
Człowiekowi towarzyszy. —
Rozpacz Hanny któż opisze?
Któż określić żal jej może?
Dopuszczenie straszne Boże
W jednej chwili jej zabrało
Ojca, męża z tego świata!
Serce w piersiach bić przestało —
Tak okropną była strata
Tych dwóch istot niespodziana,
W pierwszej chwili Hanna była
Jakby na w pół obłąkana
Swą rozpaczą tylko żyła, —
Której nikt nie skreśli miary;
Ale Hanna w tej rozterce
Nie traciła w Bogu wiary
I słabnące w bolu serce
Na modlitwie pokrzepiała,
A w lat kilka rozpacz Hanny
Zwolna w smutek się zmieniała,
W smutek cichy, nieustanny.
I już siódma piękna wiosna
Uśmiechała się radosna;
W pełnym blasku na tym świecie,
Lipy stare swym zwyczajem

Wiodły gwary nad ruczajem,
Bieląc w słońcu swoje kwiecie,
Łąki lica swe urodne
W barwne kwiaty przystroiły,
Chóry ptasząt różnorodne
Cudne piosnki swe dzwoniły
I wesoło szczebiotały
Niby Panu ku podzięce,
Że słoneczne jego ręce
Swe promienie znów rozsiały. —
Ziemię kryły już dywany
Zieloności różnych cieni,
Bliskie siebie dwa kurhany
Także skryły się w zieleni,
Tylke wyżej czoła wzniosły
A na jednym piękne kwiaty —
Nie jaskiry, nie bławaty, —
Ale róże wonne rosły.
Przy kurhanie tym siedziała
Smutna Hanna. Wszystkie bole
Widne były na jej czole,
Chociaż teraz nie płakała.
Mały Janek jasnowłosy
Przy niej gwarzył o Tatarach
A spoglądał na niebiosy,
Jakby chciał się w swych zamiarach
Pytać słońca, czy mu sprzyja? —

— Mamo mówił — moja droga —
Czas podobno prędko mija,
Gdy urosnę z woli Boga
Wezmę szablę, na koń siędę
I pojadę w Tatarszczyznę —
Tam im zniszczę ich ojczyznę
I poganów ścinać będę, —
Jako trawę ich wykoszę,
Ja się pomszczę za śmierć tatki
Ale — mówił — nie płacz proszę
Poglądnąwszy w oczy matki,
Które łzami napływały
Nie płacz mamo — gdy podrosnę
To na przyszłą może wiosnę
Siądę na koń, koń mój biały,
Jak ptak chyży, lotny, dziarski
Pogna ze mną w step tatarski —
Mamo słyszeć będziesz wszędzie,
Żem mą szablę zdołał wsławić,
Tatko z nieba pewnie będzie
Mojej dłoni błogosławić —
A i dziadek będzie w niebie
Błogosławić mnie i ciebie!
Hanna, patrząc na pachole
Już o wojnie dziś marzące,
Miała w oczach łzy gorące,
A dziecina serca bole

Szczebiotaniem przerywała!

. . . .

Wiele Hanna ucierpiała
Na tem, że i ksiądz sędziwy,
Który był jej opiekunem
Pod grobowym legł całunem.
Odkąd dzień ten nieszczęśliwy
Nowym ciosem wtrząsnął Hanną,
Ona troskę ciężką miała,
Troskę matki nieustanną,
Bo o dziecko swoje drżała.
Jakieś w sercu złe przeczucia
Z każdym dla niej dniem wzrastały
I goryczą napełniały
Myśl jej wszystką i uczucia, —
Zdało jej się, że śmierć dłonią
Martwą, zimną, sięga po nią
I że lada chwila może
Dłoń ta życia ją pozbawi —
A maleńkie to nieboże
Na sieroctwo pozostawi —
Więc też nieraz, gdy dziecina
O swych wojnach szczebiotała
I rąbała tatarzyna —
Hanna smutna rozmyślała
Czyjej żądaćby opieki
Dla małego pacholęcia,

Nim śmierć zamknie jej powieki
Nim ją weźmie w swe objęcia. —
Nieraz w takich myśli kole
Stach się zjawiał przed oczyma,
Bo jak wielkie to Podole
Tak szczerszego dla niej niema
Przyjaciela na tej ziemi.
Odkąd Bóg mu cudy swemi
Z ran wyleczyć się pozwolił,
Wszystkie smutki Stach zespolił
Z cierpieniami Hanny biednej
I ramieniem swem niejednej
Piorunowej błyskawicy
Przeciął drogę, z jej źrenicy
Otarł gorzką łzę niejedną.
Biedny Staszek Hannę biedną
Kochał całą serca siłą —
Hanna była mu tak miłą,
Żeby dla niej w ogień skoczył.
Byłby dla niej we krwi pewnie
Jeszcze nieraz się ubroczył. —
I nawzajem czule rzewnie
Stach przez Hannę był kochany,
On ją kochał, kochał szczerze,
Wielką miłość niósł w ofierze
Ona — uśmiech mu siostrzany
Podawała w łez oprawie —

Dla niej znikła barwa świata,
Ona we śnie i na jawie
Tak kochała go jak brata —
A on Hannę kochał więcej,
Niźli ona rozumiała,
Kochał może ją goręcej
Niźli ona sama chciała.

. . . .

Właśnie kiedy Janek mały
Łzy u matki powiek zoczył
Pan Staisław sposępniały
Do kurhana ku nim kroczył —
I zdaleka się pokłonił. —
Przybył, w Hanny lica spojrzał,
W oczach łzy świecące dojrzał,
Westchnął ciężko — głowę skłonił.
— Mościa pani — mówił smutnie —
Znów łzy drgają pod twem okiem,
Wy nie wiecie jak okrutnie
Mnie ranicie tym widokiem,
Jabym wolał już nie żądać
Więcej życia w tej otchłani
Niż te wasze łzy oglądać. —
Dajcie pokój mościa pani
Smutek łzami się nie zmienia,
I ból łzami nie ochładza —
Wszakże Boża na nas władza

Zseła ciężkie dopuszczenia. —
Więc nie płaczcie pani moja,
Nie bolejcie wieczną troską
Ale zgodnie z wolą Boską
Rzeczcie: Stań sie Wola Twoja!
Bóg wam Hanno dopomoże
Przenieść ciężką waszą dolę,
Wszakże macie i pachole
Ono bez was zmarnieć może. —
— Otóż właśnie Stanisławie
Rzekła Hanna — z woli Boskiej
O dziecinę moje troski
Ja sierotą go zostawię,
Tak mi serce wróży moje
I stąd wszystkie niepokoje!
Stanisławie — na tym świecie
Prócz was nie mam już nikogo,
O tem pewnie dobrze wiecie,
Więc opiekę nad niebogą,
Nad dzieciną weźcie moją,
Gdy Bóg może mnie powoła.
Zastąp stóża mu anioła
I sierotę wiedź przez życie;
Ja modlitwą wesprę moją. —
Stach zamyślił się głęboko
Łzą i jego zaszło oko —
— Może wy mną pogardzicie

Rzekł po chwili Stach wzruszony —
Gdy poździeram te osłony,
Które serce me okryły
Przez powinne wam respekta!
Dłużej kryć się nie mam siły,
Dla was wielkie mam afekta,
Jabym dla was Hanno droga
Krwi ze serca nie żałował,
Jam to serce wam zachował
Choć mnie boleść gniotła sroga.
Jam tej chwili błogosławił,
Gdy wasz kozak piersi moje
Celną kulą swą okrwawił,
Bo myślałem, żem podwoje
Niebios przeszedł — i że w niebie
Bóg pozwoli widzieć ciebie
Za nagrodę cierpień życia,
I że tam u tronu Boga
W pośród srebrnych chmur okrycia
I ty będziesz Hanno droga,
Że przed okiem mojej duszy
Choć czasami się zajawisz,
A gdy chmury wiatr rozprószy
Ty swój promień mi zostawisz; —
Jednak zwiodła mnie kozacza
Celna kula. — Mnie na nowo
Życie brzemię swe roztacza!

— Hanno droga rzeknij słowo,
Daj mi rękę, lecz wiedz o tem —
Choćbyś duszę mą zraniła
Swej odmowy ostrym grotem —
Ty mi zawsze będziesz miła,
Bo afekta ukrywane
Zrosły z mego serca biciem,
Bo Cię kochać nie przestanę
Nawet z tem doczesnem życiem. —
Hanna blada długo stała
Nie mówiła ani słowa —
Snać coś w duszy rozważała
Wreszcie rzekła: Jam jest wdowa,
Lecz nademną tam wysoko
Czuwa jeszcze ojca oko,
Czuwa oko mego Janka. —
Pozwól waćpan im to zwierzę,
Gdy wieczorem lub z poranka
Będę mówić me pacierze —
Sądzę, że ich drogie cienie
W tych terminach mi pomogą,
A ja pójdę taką drogą,
Jaką wskaże mi natchnienie
— Więc nadzieje nie przepadły —
— Rzekł Stanisław — chyląc czoło,
Można jeszcze śnić wesoło! —
I dwie wielkie łzy mu spadły,

Co błyszczały już w źrenicach.
I stoczyły się po licach.

VII.

Stare lipy znów szumiały
Tajemniczo jak przed laty,
Znowu widniał dworek biały
I widniały białe chaty —
I na dworku znów bocianie
Słychać było klekotanie —
Rzekłbyś wszystko powróciło
W dawne miejsca, w dawne progi,
Nic się prawie nie zmieniło,
Tylko w polu koło drogi,
Dwa kurhany czoła wzniosły,
Tylko kwiaty po nich rosły;
Ale ludzie się zmienili,
Pod nowemi już strzechami
Jacyś obcy teraz żyli,
Widać z twarzy — nie ci sami,
Co mieszkali tu przed laty
Tylko Hanna z małym Jankiem
Wychodziła wczesnym rankiem
Do kurhana ze swej chaty,
Za nią Stach się ukazywał
Janek mu o bojach gwarzył,

O Tatarach ciągle marzył
I tatusiem go nazywał.
Tak płynęły dnie skokojnie
Dla nowego tego dworu —
Rzekłbyś sądząc, go z pozoru,
Że tu nigdy wieść o wojnie
Pięknej ciszy nie mięszała,
Że ta miła okolica
Krwią się nigdy nie zbryzgała
Tak pogodne miała lica.

. . . .

Raz do ciszy tego raju
Z dalekiego zaszedł kraju
Jakiś biedak, — postać rzewna,
Wynędzniała, opuszczona,
Widać głodem zamorzona —
Zamiast nogi kawał drewna
Włos miał długi i rozwiany
Szronem nieco przesypany
Przez pochyłe zaś ramiona
Spora torba przewieszona
Na zgarbiony grzbiet spadała.
Biednym trzęsły dziwne dreszcze
Twarz pożółka ciągle drgała
A on naprzód kroczy jeszcze —
Często błędnem okiem toczy!
Lipy gwarno mu szumiały,

Zamajaczył dworek biały
Po przed jego smętne oczy,
Z których trysły mu płomienie,
Żar młodzieńczy w nich zabłysnął,
Jak przedśmiertne wysilenie —
I łez potok z ócz wytrysnął. —
Ku dworowi skręcił z drogi
I ostatkiem sił pospieszał
Stuk drewnianej jego nogi
Z westchnieniami się pomięszał —
Już kwieciste mijał pole,
Mijał płoty już zielone,
Gdy naprzeciw mu pachole
Pospieszało ucieszone. —
— Dziadku — rzecze jasnowłose
Piękne chłopię — chodź do chatki,
Spoczniesz u nas, u mej matki
Ja i chleba ci wyniosę
I nakarmię i napoję. —
Dziecko miłe! — dziecko moje!
Przerwał biedak, tłumiąc łkanie —
Moja boleść nagrodzona —
Tyś mój Janek! — Ty kochanie!
— I przycisnął go do łona,
Jakby piękny ten świat cały
W jego teraz skrył się niebie!
A dwa serca uderzały

Jednem tętnem obok siebie!
I pachole w tym uścisku
Dziwne mrzonki jakieś snuło. —
Przy biedaka serca blisko
Wiele, wiele szczęścia czuło!
— Zkąd ty wracasz dziadku miły? —
— Znów po chwili go spytało —
Ty iść dalej nie masz siły,
Tyś już uszedł mil nie mało? —
— Wracam tu do mej ojczyzny —
Mówił dziadek — do swej roli —
Hen daleko z Tatarszczyzny
Gdziem lat kilka był w niewoli —
Z Tatarszczyzny?! — Wielki Boże
Szepłał malec rozczulony
Choć na przyszłą wiosnę może
Ja pojadą w tamte strony.
A to po co? — rzekł po chwili
Z podziwieniem w bladej twarzy
Drżący żebrak — Wszak Tatarzy
Mego ojca mi zabili —
Mówił chłopak ze łzą w oku. —
Jeno szabla przy mym boku
Raz złowrogo im zadźwięknie —
Tatarszczyzna cała jęknie
Jednym płaczem tak bolesnym,
Jak jam płakał ojca straty.

Gdy u progu własnej chaty
Zgasł na wieki rankiem wczesnym!
O! ja pójdę jak gniew Boży
Na ich stepy dziś spokojne,
I tam taką wzniecę wojnę,
Że aż świat się mną zatrwoży,
A po całej naszej ziemi
Wiatr o zemście wieść rozniesie —
Będą drzewa szumieć w lesie
Liśćmi swemi zielonemi
O mej zemście. Wszystko wszędzie
Jak szeroki świat ten cały
O mej szabli mówić będzie! —
Przy tem lica mu pałały,
Jakby ogień z nich wytryskał,
Jakby płomień z ócz mu błyskał
I w tej chwili się zdawało,
Że to rycerz z groźnem okiem
Nie pachole przemawiało! —
Zachwycony tym widokiem
Biedak porwał znów w objęcia
Tatarskiego gromiciela
I ojcowskiej krwi mściciela —
A na czole pacholęcia
Składał czułe pocałunki —
— Darme dziecko twe frasunki —
Mówił, idąc ku dworowi,

Rady nie dasz Tatarowi
Jedna szabla nie podbije
Jeszcze kraju tatarskiego,
Zresztą mścić się nie masz czego,
Bo twój ojciec dotąd żyje!
Żyje, — mówił Janek mały —
Ale nie ten ukochany,
Co go nieba dla mnie dały!
A wskazując dwa kurhany,
Dodał z żalem bardzo smutno —
Ten spi tutaj, tu mu wroga
Dłoń zadała śmierć okrutną,
On już pewno tam u Boga
W jasnych chmurkach z aniołkami
Po świetlanych gwiazdach lata
I tam modli się za nami. —
Ten, co żyje także tata
Ale tata mój przybrany. —
— Co ty mówisz?! — jęknął biedny. —
— Mówię dziadku mój kochany —
Prawił malec mu bezwiedny,
Że matula swoją rękę
Po raz drugi już oddała! —
Twarz żebraka pobiełała —
— Na Chrystusa krwawą mękę
Co się dziadku z tobą dzieje?
Matko! Ojcze! co się stało

Dziadek pada! dziadek mdleje!
Tak pachole powtarzało,
Gdy przy progu swego domu
Janek runął pod tą wieścią,
Która siłę miała gromu
I zabiła go — boleścią!
Wszyscy zbiegli się do koła,
Niosąc pomoc omdlałemu —
Tylko Hanna — nie wiem czemu —
Rozgarnąwszy włos od czoła,
Ze wzruszenia jak liść drzała,
Nad półtrupem pochylona
Nieprzytomnie powtarzała
Ach ten biedak pewno kona!
Naraz Janek wzniósł źrenicę,
Łzy po licach się stoczyły;
Ale biednej Hanny lice
Barwą śmierci się okryły,
W myśli wszystko się zmięszało,
Serce w piersi bić przestało,
A przed okiem świat majaczy
W całej pięknej swej wielkości —
Z piersi Hanny krzyk radości,
Lecz zarazem i rozpaczy
Zabrzmiał strasznym jakimś dźwiękiem
Jak zerwanej struny jękiem.
Janek wrócił mój stracony,

Łkając Hanna zajęczała
Janku! Janku!! ulubiony!!
Jam po tobie tak płakała,
Że aż serce marło we mnie —
Gdzieżeś bywał mój kochanku?
Coś porabiał tam bezemnie
Mój jedyny drogi Janku!
Takie czułe Hanny słowa
Sercem Janka poruszyły,
Wyczerpnąwszy wszystkie siły
Szepnął jeszcze —: bywaj zdrowa
Hanno moja — żono droga —
Stanął anioł mi u czoła,
Anioł śmierci i do Boga
Moją grzeszną duszę woła. —
Żegaaj Hanno! — Synu miły!
Ja was z serca błogosławię —
Żegnaj drogi Stanisławie
A czasami u mogiły
Zmówcie pacierz . . za mą duszę . .
Czas mi w drogę . . już iść muszę .
Jak mi ciemno . . gdyby . . w grobie!
I wyciągnął swe ramiona
Na krzyż złożył ręce obie. —
Hanna jękła: Janek kona!
On usypiał już na wieki,
Usta zwolna mu pobladły

I zmartwiałe już powieki
Na zamglone oczy spadły

IX.

W dwa dni potem znów kurhanek
Jak z pod ziemi wyrósł świeży,
Pod nim cicho biedny Janek
Na ojczystej ziemi leży.
A na kurhan czyjeś ręce
Poznosiły kwiaty, wieńce —
I tak w różne piękne kwiecie
Mogilniczek ten ubrały,
Jakby na tym całym świecie
Oprócz niego nic nie miały. —
Że to Hanna pojąć łatwo.
Nieraz wraca od kurhanka
Z mogilnika swego Janka
I przed wiejską staje dziatwą —
Ma na skroniach kwiatów kiście,
Jakieś trawy, jakieś liście,
W dłoniach ziele i burzany,
I w około tem potrząsa,
Czasem i łzy w oczach miewa,
Lecz wesoło przytem spiewa
I dziwacznie sama pląsa.
Ludzie stają, spoglądają

Na ten Hanny strój dziwaczny,
Na ten straszny śmiech rozpaczny
I głowami potrząsają. —
W każdem oku zła zamglona,
Łza współczucia im widnieje —
Ale Hanna już szalona
Dziwnym śmiechem z łez się śmieje;
Gdzieś jej myśli się rozbiły
W obłąkanych uczuć kole,
Nawet mały Janek miły,
Jasnowłose jej pachole
Już jej wzruszyć nie zdołało,
Kiedy patrząc na szaloną
Czasem w głos się rozpłakało. —
—Nie płacz—nie płacz —jutro pono —
Biedna Hanna powtarzała —
Wróci ojciec z Tatarszczyzny
Wróci do nas — do ojczyzny,
I znów w pląsach zaśpiewała —
Stach zesmutniał, w jego twarzy
Dziwny także płomień żarzy,
Jakby krwią oblane słońce,
Serce z bolu w piersi taje,
Porozsyłał liczne gońce
Aż w zamorskie pono kraje
Swojej Hannie po medyka.
Żal tymczasem w duszę wnika,

Widząc Hannę jak co ranka
Wybiegała do kurhanka,
Jak pląsała, jak spiewała
I jak Janka wyglądała. —
Stach się modlił przez dnie całe
Do Pańskiego przemienienia,
A tak lica mu zbielałe,
Że podobien był do cienia
Nie do człeka żyjącego. —
Wreszcie Hannie najlepszego
Zesłał z nieba Bóg medyka.
Blady medyk zimną dłonią
Zrobił Hannie krzyż nad skronią
Gdy u Janka mogilnika
W głos wesołą pieśń spiewała,
Hanna drgnęła spiew przerwała
Zesztywniała i pobladła
I na kurhan swój upadła
I wieczystem snem usnęła. —
A jej dusza popłynęła
Strugą światła obleczona
Niby rajskim jakimś wiankiem
Gdzieś za ojcem i za Jankiem!
Hanna zmarła — pieśń skończona.

X.

Ale może mnie spytacie
Co się z Stachem, z Jankiem stało?
Oni po tej ciężkiej stracie
Byli w dworku bardzo mało —
Opuścili swe Podole —
Stach pojechał, z nim pachole,
Bo to właśnie w czasie owym
Polskę Szwedzi najechali,
Kraj okrzykiem wrzał bojowym
Więc na wojnę się wybrali
Chcąc z ojczyzny wygnać Szwedy.—
Dziwić was to będzie może,
Że i małe to nieboże
Szło do wojny? — O wszak wtedy
Nawet małe pacholęta
Już ojczyznę swą kochały
I jak pacierz to wiedziały,
Że ojczyzna matka święta,
Że im chlubą będzie wieczną
Ku ojczystej tej obronie
Uzbrojone podnieść dłonie,
I krew przelać swą serdeczną

. . . .

Jakie losy ich spotkały
Na tej wojnie ze Szwedami

O tem lipy nie szumiały,
I ja siedząc pod lipami
Nie słyszałem dalszych dzieji. —
Insza pewnie okolica
Była świadkiem ich koleji. —
Może kiedy ciemnolica
Jaka lipa królewianka,
Co powieści dawne miewa,
Swoim gwarem mi wyspiewa
Losy Stacha, dolę Janka. —